
Między studiami a praktyką nauczycielską

(19.01.2010.) - Autor: Małgorzata Kowalczyk

W Polsce przymiotnik "akademicki" w powszechnym użyciu to synonim czegoś teoretycznego, niezrozumiałego, oderwanego od rzeczywistych problemów codzienności. Zapewne nie można oceniać wszystkich uczelni jedną miarą, ale nie mam wątpliwości, że problem rozziwu między teorią a praktyką w szczególnym stopniu dotyka studentów na specjalizacjach nauczycielskich.

Uniwersytety robią niewiele, aby ludowe przekleństwo: „obyś cudze dzieci uczył” przestało być złowrogim ostrzeżeniem. Świeżo upieczony magister w zderzeniu z wymaganiami stawianymi nauczycielowi stażycie przypomina turystę wspinającego się na Rysy w klapkach. Lista grzechów powszednich polskich uczelni jest długa. Wystarczy oddać głos nauczycielom piszącym na forum 45minut.pl:

„Uczelnie nie kształcą dobrych nauczycieli, ich programy nauczania są skostniałe i oderwane od rzeczywistości. Wykładowca, nawet ucząc metodyki czy dydaktyki, nie zagląda - jak kiedyś - do szkoły! Nie ma pojęcia, co dzieje się w szkolnictwie naprawdę.”

„Pracuję w szkole specjalnej i przez uczelnie nie zostałam nawet w połowie przygotowana! Czy ktoś na uczelni pokazał nam dzienniki? Jak się pisze program profilaktyczny i wychowawczy? Czy ktoś omówił jednostki kliniczne? Jak rozmawiać z rodzicami? Jak się zachowywać w trudnych sytuacjach?”

„Kończyłam studia uniwersyteckie wiele lat temu i mam wrażenie, że dzisiejszych studentów uczy się nauczycielstwa mniej więcej tak samo. Studenci z mojej uczelni, którzy przychodzą na praktykę pedagogiczną, są tego dowodem. O wielu sprawach ze współczesnej pedagogiki czy metodyki nauczania wcale nie słyszeli! Profesor jak siedział za katedrą i klepał te swoje wykłady z pożółkłych kartek, tak robi to dalej.”

Skostniałe sposoby przekazywania wiedzy, niefunkcjonalne, nieporuszające zagadnień związanych z problemami młodzieży zajęcia z pedagogiki i psychologii, brak kontaktu wykładowców akademickich ze szkołami, umniejszanie znaczenia zajęć z metodyki, w myśl niepisanej reguły, że na nauczyciela idą najslabsi studenci... Można by te smutne konstatacje wyliczać w nieskończoność. Dodajmy do tego, że na niewielu kierunkach odbywają się zajęcia w pracowniach komputerowych, gdzie studenci powinni nauczyć się wykorzystywania w swej pracy multimediów, gdyż do przekazywania wiedzy nie wystarcza już kreda i tablica.

W efekcie do szkół trafiają (o ile uda im się pracę znaleźć!) ludzie nieprzygotowani, a przez to wystraszeni nałożonymi na nich obowiązkami. Jeżeli chcą „przeżyć”, muszą przejść przyspieszony kurs na dobrego metodyka, wychowawcę i administratora.

Czy istnieją drogi wyjścia z tego „kamiennego kręgu”? Zapewne impulsem do zmian na uczelniach mógłby być rzeczywisty, zwrotny kontakt między nimi a podstawówkami, gimnazjami i liceami. Dobrze, gdyby opierał się na rzetelnej ocenie absolwentów, wyłapywaniu ich braków, przepływie informacji między rektorami a dyrektorami szkół, a co za tym idzie, wdrażaniu nowych programów nauczania na uniwersytetach. Powszechnie wiadomo, że uczelnie wyższe silną motywację do zmian uzyskują, gdy wchodzi w partnerskie relacje z potencjalnymi pracodawcami swoich absolwentów, gdyż taki kontakt skutkuje dynamiczną, opartą o rzeczywiste potrzeby rynku wymianą, przynoszącą wymierne korzyści materialne zarówno uczelniom jak i biznesowi.

Ze zrozumiałych względów szkoły nigdy nie staną się podobnymi partnerami wyższych uczelni, ale przecież każdej ze stron powinno zależeć na kształceniu najlepszych nauczycieli (i uczniów). Z pewnością rzutowałoby to na jakość edukacji na wszystkich poziomach, a przez to na tworzenie nowoczesnego społeczeństwa XXI wieku opartego na wiedzy. Propozycją wyjścia z impasu mógłby być ranking uczelni mogących pochwalić się programem funkcjonalnym, skutecznym, zakładającym wysokie kompetencje przyszłych nauczycieli, którzy zdobyliby nie tylko wiedzę w swojej dziedzinie, ale opanowali także podstawy trudnej sztuki pracy z dziećmi i młodzieżą.